NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 2150·— Mk., z przes. 2470·— Mk. Półrocznie 4940·— Mk. Rocznie 9880·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 200 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 23 września 1922. Nr. 38.

Bohaterska śmierć konduktora w walce z bandytą



Sumienny konduktor, Jan Więckuś, w pościgu za opryszkiem pada ofiarą swego zawodu.

Bohaterska śmierć konduktora w walce z bandytą

(Do illustracyi tytułowej.)

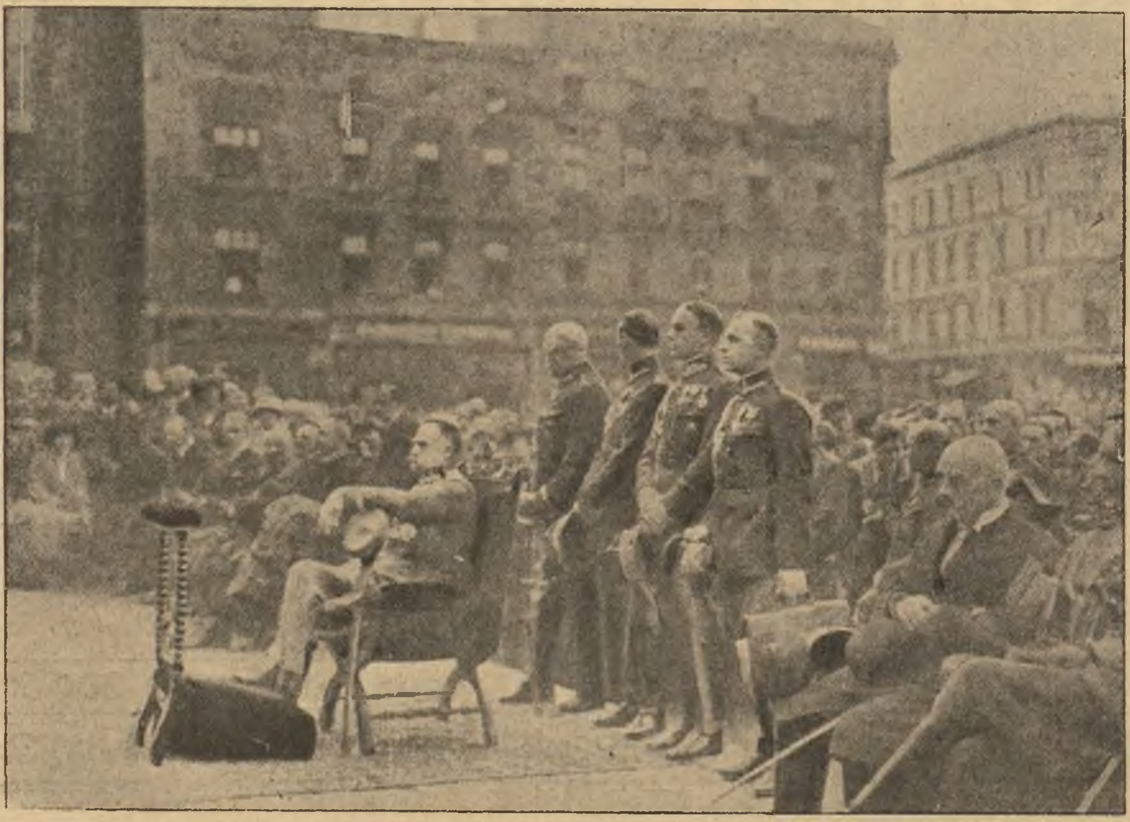
Patryotyzm, zarówno jak i odwaga i poczucie obowiązku — są to znamienne cechy naszych dzielnych kolejarzy. Czy to w katastrofie, czy w walce z opryszkami, okazywali konduktorzy nasi niejednokrotnie nieustraszoną odwagę, stawiającą ich na równi z żołnierzami w boju.

Podobny wypadek bohaterskiego poświęcenia się komunikują nam obecnie:

W pociągu warszawsko-krakowskim dokonał jakiś opryszek kradzieży w jednym z wagonów. Pasażerowie spostrzegłszy to, chcieli łotrzyka ująć, ten atoli z zręcznością akrobaty wyskoczył przez okno pędzącego pociągu i wymknął się na dachy wagonów. W tej chwili, tą samą drogą, puszcza się za nim konduktor konwojujący pociąg i rozpoczyna się, jak na filmie, szalona, karkołomna pogoń za zbrodniarzem.

Pociąg mijał właśnie stacyę Mydlniki, konduktor w zapalczywości ścigania nie zauważył, że pociąg wjeżdża pod most. Uderza głową o rampę i ze zmiażdżoną czaszka spada martwy na ziemię... Złodziej umknął.

Wieczorem przewieziono zwłoki tragicznie zmarłego konduktora, który zwał się Jan Więckuś — do Krakowa i ułożono na marach na dworcu przetokowym.



Z pobytu Naczelnika Państwa w Katowicach: Msza św. polowa na Rynku w Katowicach w dniu 27 sierpnia b. r.

Z pobytu Naczelnika Państwa w Katowicach.

Po raz pierwszy od chwili przyłączenia do Polski przyznanej nam części Górnego Śląska bawił Naczelnik Państwa na tej ziemi.

Naczelnik Państwa przybył do Katowic w dniu 27 sierpnia b. r. rano w otoczeniu ks. prałata Tokarzewskiego, jenerała Szeptyckiego, jen. adjutanta jenerała Jacyny, dyrektora kancelaryi cywilnej p. Cara, oraz zastępcy jego Łepkowskiego, ministra pracy i opieki społecznej p. Darowskiego, oraz pułk. Miedzińskiego, witany na dworcu przez wojewodę Rymera, burmistrza Górnika, delegacye oraz publiczność. Po przyjęciu raportu komendanta kompanii honorowej, Naczelnik Państwa udał się na Rynek, gdzie wysłuchał mszy świętej, odprawionej przy ołtarzu polowym przed gmachem teatru. Miasto, które nie było uprzedzone afiszami o przybyciu Naczelnika Państwa, dopiero w ostatniej chwili przystroiło się, a tłumy zaległy Rynek. Po mszy świętej wygłosił kazanie ks. dr. Kubina, proboszcz miejscowy i wielce zasłużony działacz w obronie polskości Śląska. Po wysłuchaniu mszy św. i kazania, Naczelnik Państwa oraz jenerałowie Szeptycki, Horoszkiewicz, Jacyna i Osiński udekorowali część tych bohaterów, którzy walczyli orężnie w obronie ziemi śląskiej. Po udekorowaniu powstańców odbyła się defilada powstańców oraz pochód organizacyi, które ustawione w czwórki, mijały Naczelnika Państwa, wznosząc okrzyki na jego cześć. Pochód trwał około godziny. Następnie publiczność wznosząc okrzyki na cześć Naczelnika Państwa wyprzęgła konie z powozu zawiozła Naczelnika Państwa z wojewodą Rymerem do gmachu Starostwa, gdzie odbyło się śniadanie w ścisłem gronie.

Popołudniu udzielał Naczelnik Państwa w sali recepcyjnej Starostwa audyencyi przedstawicielom stowarzyszeń i osobom prywatnym. Między innymi zjawili się także i przedstawiciele mniejszości niemieckiej, których zapewnił. że Niemcy w Polsce mogą się cieszyć pełnią praw obywatelskich, zaznaczając przytem, że zupełnie inaczej dzieje się z tamtej strony granicy, co u tutejszej ludności musi wywołać łatwo zrozumiałe rozgoryczenie.

Po odpoczynku udał się Naczelnik Państwa ku granicy byłej Kongresówki, do Czeladzi, do fabryki „Saturn", gdzie w czasie walk konspiracyjnych przekradał się przez patrole graniczne i zatrzymał



Młodzież francuska w Krakowie: Uczestnicy wycieczki podczas uroczystości sadzenia drzewek przez młodzież krakowską na Bulwarze Wolności w dniu 17. września br.

się u p. Dohnella, nadsztygara kopalni, któremu złożył niespodziewanie wizytę. Ludność Czeladzi i fabryki dowiedziawszy się o przybyciu Naczelnika Państwa, zgotowała mu gorącą owacyę.

Po zwiedzeniu domu ludowego, który powstał dzięki staraniom prezesa Pieczyńskiego, p. Kowalskiego i innych, oraz po złożeniu swego podpisu w księdze pamiątkowej, wśród okrzyków udał się Pan Naczelnik Państwa w drogę powrotną do Katowic, gdzie w sali „Reichshalu“ oczekiwali goście zaproszeni przez wojewodę na obiad i raut. Na raucie prócz przedstawicieli miejscowych władz, którzy przybyli w komplecie, zauważono wśród obecnych prezesa Calondera, konsula republiki francuskiej Mongeandrea, delegatów prasy, związków zawodowych i wielu przedstawicieli ze świata przemysłowego. Przemawiali: wojewoda Rymer, jen. Szeptycki, ks. prałat Kapica, konsul francuski, wreszcie wygłosił Naczelnik Państwa dłuższą mowę, pełną refleksyi na temat obecnych stosunków.



Młodzież francuska w Krakowie: Dzieci krakowskie pod przewodnictwem prof. Syca, biorące udział w uroczystości sadzenia drzewek na Bulwarze Wolności.

Młodzież francuska w Krakowie.

Jednym z objawów coraz silniejszego zaciskania się węzłów serdecznych łączących Francyę z Polską, była wycieczka młodzieży francuskiej, która przybyła do nas w pierwszej połowie bieżącego miesiąca na zaproszenie Rządu polskiego, wystosowane na ręce prezydenta Poincarégo. Mili goście, w liczbie około stu dwudziestu, w tem kilku profesorów, po zwiedzeniu Warszawy i Lwowa zawitali w mury podwawelskiego grodu w sobotę, dnia 16. września popołudniu.

Na powitanie młodzieży francuskiej przystrojono krakowski dworzec kolejowy zielenią i fla-



Pamięci ofiar hajdamackich gwałtów: Msza św. polowa na boisku „Sokoła“ w Kołomyi w dniu 10. września br. Fot. am. M. Righetti, Kołomyja.



Pamięci ofiar hajdamackich gwałtów: Krzyż pamiątkowy na Cmentarzu Wojskowym w Kołomyi, projektowany przez art. mal. prof. St. Daczyńskiego. Fot. am. M. Righetti, Kołomyja.

gami o barwach polskich i francuskich, na peronie oczekiwali przybycia gości przedstawiciele władz i młodzieży, wzdłuż ulicy Lubicz i Basztowej aż do Barbakanu reszta jej utworzyła szpalery. Nadjeżdżający od strony Lwowa pociąg powitały tony „Marsylianki“, odegranej przez orkiestrę oraz gromkie okrzyki: *Vive la France!* którym z okien wagonów odpowiedziały: *Vive la Pologne!* Po wygłoszeniu powitalnych przemówień przez wiceprezydenta miasta, dra Wielgusa, i przedstawiciela młodzieży polskiej, Skirmunta, na które odpowiedział w serdecznych słowach prof. Bruet, ruszono wśród owacyjnych okrzyków ku Barbakanowi, gdzie przed francuskimi gośćmi przedefilowała młodzież krakowska. Stąd udano się przy dźwiękach orkiestry ulicą Floryańską i Rynkiem do Starego Teatru na obiad. Popołudnie zajęła wycieczka na Kopiec Kościuszki pod przewodnictwem niestrudzonego rotmistrza Pusłowskiego, który przez cały czas pobytu wycieczki w naszem mieście stale jej towarzyszył, zapoznając gości z zabytkami naszego miasta.

W niedzielę rano, po wysłuchaniu mszy św. w kościele OO. Franciszkanów zwiedzono Muzeum Narodowe, kościół Maryacki i inne pamiątki Starego Krakowa, następnie Wawel. W południe odbył się w salach Starego Teatru obiad przy licznym udziale przedstawicieli wszystkich sfer naszego miasta, przedewszystkiem zaś szkolnictwa. Przemawiali: Kurator Owiński, prof. Szyszko-Bohusz, rotm. Pusłowski i prof. Bruet na temat polsko-francuskiego braterstwa. Po obiedzie udali się Francuzi na Błonia, gdzie uczestniczyli w uroczystości sadzenia drzewek przez młodzież krakowską na Bulwarze Wolności, następnie część gości udała się na match „Cracovii“, reszta zaś na regaty na



Pamięci ofiar hajdamackich gwałtów: Poświęcenie Krzyża pamiątkowego na grobie 1400 ofiar na Cmentarzu Wojskowym w Kołomyi. Fot. am. M. Righetti, Kołomyja.



Początek końca: Ismet basza, naczelny wódz wojsk tureckich w Małej Azyi, ze swym sztabem.



Początek końca: Król grecki Konstantyn, którego wielko-greckie aspiracye postawiły Grecyę nad brzegiem przepaści.

Wiśle. Wieczorem odbył się w sali Starego Teatru raut, gdzie do zebranych przemówił delegat Towarzystwa Przyjaciół Francyi. Na program rautu złożyła się bardzo udatna część muzykalna i wokalna.

W poniedziałek rano obrócono na dalsze zwiedzanie pamiątek i osobliwości krakowskich, popołudniu udano się do Wieliczki, we wtorek wczesnym rankiem nastąpił odjazd do Zakopanego.

Francuskich gości przyjmowano w Krakowie nad wyraz serdecznie, pobyt w murach starego Krakowa, dla którego nie mieli dość słów pochwały i podziwienia, zarył się głęboko w ich sercu i pamięci. Aby upamietnić swój pobyt wśród bratniego narodu, ufundowali Francuzi dwie cegiełki wawelskie, z których jedna ma nosić napis w języku francuskim, druga w polskim.

Pamięci ofiar hajdamackich gwałtów.

Wschodnia część Małopolski w ciągu ostatniej wojny światowej ucierpiała najbardziej, a przyczynili się do tego nie tylko obcy, ale i swoi. — Ruiny, zgliszcza i tysiące mogił przypominają i przypominać będą jeszcze długo te straszne chwile, jakie przeżyła tutejsza ludność podczas inwazyi carskich wojsk, rządów hajdamackich i bolszewickiej nawały. Jedni i drudzy szli z sobą o lepsze w niszczeniu wszystkiego co polskie, największą zaciekłością w gnębieniu bezbronnej i niewinnej ludności wybili się na pierwsze miejsce Ukraińcy, gdy w chwili przewrotu udało się im zostać panami tego szmatu polskiej ziemi. Kto z pośród Polaków, zwłaszcza biorących udział w życiu społecznem, nie szukał ocalenia w ucieczce, ten mógł być pewny, że czeka go prześladowanie ze strony „bratniego narodu“, a nawet śmierć. Zaroiły się od Polaków obozy dla internowanych, w których dzicz hajdamacka znęcała się nad nimi w najokrutniejszy sposób. Ich męki i katusze, to najkrwawsza i najohydniejsza może plama w dziejach walczącej o swą wolność „Młodej Ukrainy“, powołanej do życia przez Berlin i Wiedeń.



Początek końca: Ogólny widok Eski-Cheir na głównej linii bojowej w Małej Azyi.



Początek końca: Oddział tureckiej piechoty w drodze na pozycyę.

Jeden z takich obozów znajdował się i w Kołomyi, a pamiątką po nim mogiła pomordowanych i zamęczonych na śmierć w liczbie około półtora tysiąca osób wszelkiego stanu, płci i wieku. Hajdamaczyzna hulała tutaj, siejąc wokół przerażenie, ale budząc także i wstręt nawet u samych umiarkowańszych Rusinów. Rządy zbirów ukraińskich skończyły się, społeczeństwo polskie odzyskało napowrót należne sobie prawa, winnych mordu rzezi nie pociągnięto jednak do odpowiedzialności, gdyż potrafili ulotnić się na czas, pewni, że przy poparciu swych zachodnio-europejskich przyjaciół powrócą tu jeszcze. Społeczeństwo polskie, otrząsnąwszy się nieco ze strasznych swych przeżyć,

RENE BURES.

Zil=X...

31) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Czy jeszcze ma inne podobne zbrodnie na sumieniu?

Możnaby tak twierdzić.

Przypuszczałem w pierwszej chwili, że chodzi tu o zbrodnię na tle sadyzmu.

Czyż nie asystował on egzekucyom, aby napawać się widokiem krwi i cierpienia?

Albo może ten uczony, pół szaleniec, szukał pod gilotyną jakiegoś trudnego problemu do rozwiązania?

Nie sądzę przecież, aby on był mordercą małej Laplanche. On ją zabił, tak, to jasne, ale może śmierć jej nastąpiła na skutek doświadczeń naukowych, których się na niej dopuścił? Proszę pamiętać, że na ciele jej nie znaleziono żadnych śladów walki.

Idę dalej.

Kiedy René Dambleuse, dowiedział się o aresztowaniu syna, o odkryciu jego rewolweru przy zwłokach kapitana de Limandoux, o odkryciu worka ze zwłokami w ogrodzie senatora i zemdlenie syna przy badaniu — można sobie wyobrazić w jaki stan gorączkowej wściekłości wpaść musiał.

Ale posiada on duszę kamienną.

Zapanował nad sobą i postanowił walczyć dalej podstępem.

Przyszedł do nas.

Musieliśmy go przyjąć i wtajemniczyć w śledztwo nasze. Szedł wszędzie za nami, starając się przeszkodzić naszym dochodzeniom w sposób iście szatański.

Kiedy w ręce nasze wpadły cyfrowe znaki, wyryte w pudełku zegarka kapitana — udało mu się tak zrobić, żeśmy zgubili ślad Marcina Sangé, a kiedy odkryliśmy imię tego pomocnika kata, nie zawahał się zabić go, zabić równocześnie kochankę jego i córkę kochanki — aby nam utrudnić śledztwo.

Walczył podstępnie aż do ostatniej chwili. Widzieliście go w Bonqueval. Widzieliście jak sobie z nas wszystkich zadrwił. W końcu zaaresztowany został pod zarzutem oporu władzy.

W więzieniu zeszedł się z Markasem.

Markasowi udało się odkryć mieszkanie jego prowizoryczne przy ulicy Lombardzkiej, gdzie przychodził przebierać się. Być może, że chciał Markasa przekupić i posłał go na ulicę Lombardzką po pieniądze.

Markas przy sposobności przetrząsnął mieszkanie i znalazł fałszywą brodę i perukę. Powrócił, z zamiarem wywarcia na nim szantażu.

Warunki były nie do przyjęcia. Dambleuse więc zamordował Markasa.

Jak mógł dopuścić się tej zbrodni?

Nie wiem. Udało mu się ukryć przy sobie w więzieniu truciznę zabójczą, atropinę skrystalizowaną, ale jakim sposobem podał ją Markasowi, tego nie zbadałem jeszcze.

Zabił Markasa — i to było strasznym błędem. Ale gdyby go był nie zabił — Markas by go wydał.

Oto fakta.

Oskarżam więc pana René Dambleuse o zbrodnie popełnione:

Na senatorze Poivrier, o zabójstwo pani de Beaumont, o zabójstwo nieznajomego, morderstwa popełnionego na kapitanie de Limandoux, o zbrodnicze czyny, które spowodowały śmierć małej Laplanche, o zamordowanie Marcina Sangé, kochanki jego i córki owej kochanki, w końcu o zamordowanie ajenta Markasa.

— Doskonale — odezwał się flegmatycznie René Dambleuse po krótkiem milczeniu. — A jaką rolę gra w tem wszystkiem Elwira Bourdon?

— Jeszcze jedno dodaję — odparł zimno Iggins. — Oskarżam pana René Dambleuse jeszcze o zamordowanie służącej swojej Elwiry Bourdon.

— Pan to morderstwo wytłómaczy? — zapytał starzec.

— Wytłómaczę — odpowiedział Iggins.

Koniec Elwiry Bourdon

Pamiętamy wszyscy okoliczności, w jakich znikła nagle Elwira Bourdon z zamku Bonqueval, służąca pana René Dambleuse.

Pomijam szturm nasz i policyi do tego zamku. Dochodzę prędko do faktu, który nas interesuje najwięcej.

Widzieliśmy, jak w przeddzień zniknięcia Elwira Bourdon, wychodząc z pracowni swojego pana, całowała go po rękach. Nazajutrz, kiedyśmy dostali się nareszcie do zamku, Elwiry Bourdon już tam nie było.

Nie mogła się przecież rozwiać w powietrzu — nieprawdaż? A więc wyjść którędyś z zamku musiała. Ale wszystkie wyjścia strzeżone były.

Co z tego wynika?

Że jeżeli ktoś nie mógł wyjść wyjściem strzeżonem, to musiał wyjść wyjściem niestrzeżonem. To przecież logiczne. Tak, w zamku wyjście takie musiało się znajdować. I znajdowało — tylko przekonasz się zaraz, że nie było strzeżonem dla tej prostej przyczyny, że się wcale do strzeżenia nie nadawało.

Tem wyjściem jest ściek, idący od laboratoryum. Ten ściek ma najwyżej dwa centymetry objętości! To mało, prawda?

Wystarczyło to jednak staremu Dambleuse do pozbycia się tą drogą Elwiry Bourdon.

Doszedłem do tej konkluzyi logiką moją, a następnie przy pomocy poczynionych dwóch małych spostrzeżeń:

1) W laboratoryum znajdowały się olbrzymie słoje, służące do przechowywania różnych preparatów chemicznych.

Otóż słoje te były teraz puste.

2) Dowiedziałem się, wypytując się po okolicy, zaraz po aresztowaniu starego Dambleuse, że wszystkie ryby rzeczki, płynącej pod zamkiem Bonqueval, a do której właśnie wpadał ściek, idący z laboratoryum — zostały zatrute i wypłynęły martwe na powierzchnię wody.

W jakim że to celu, Rene Dambleuse, broniąc nam przystępu do pracowni przez dobę całą — wylał do swojego zlewu całą zawartość słojów!?

Wytłumaczę to w paru słowach.

René Dambleuse doprowadził ciało Elwiry Bourdon do stanu płynnego!

Nie wiem, czy akta kryminalne całego świata notują fakt tak szatański!

Ale Dambleuse to uczynił.

Czy mam wam przedstawić szczegóły tej okropnej operacyi? Nie znane mi są naukowe, pomocnicze środki, których użył Dambleuse. Będzie to rzeczą chemików fachowych wyjaśnić ten niewiarygodny eksperyment. Wyobrażam sobie tylko, że Dambleuse, udusiwszy, czy też otruwszy służącą, ściągnięte z niej ubranie pociął w kawałki i spalił w piecyku, w laboratoryum — lub jeszcze zalał je niszczącymi kwasami palącymi.

Wyobrażam sobie, że następnie wytoczył z niej krew w dużej kadzi, służącej mu do wiwisekcyi zwierząt — zabił w niej barwik potasem i wylał do zlewu.

Wyobrażam sobie straszne, ohydne, roz-ćwiartowane ciało na kawałki, ciało odjęte od kości — kości zniszczone kwasami i doprowadzone do stanu masy żelatynowej, spalonej również w piecyku — popiół z nich znowu zmieniony w jakąś inną substancyę i wraz z wodą wylany do ścieku.

Wszystko to, przeprowadzone zostało na zimno, z rozwagą, z rozmysłem.

Biedne stare ciało Elwiry Bourdon przeszło kanałem ściekowym aż do rzeki.

Jeszcze jedno odkrycie: drzewo rewolweru niemieckiego zostało spalone, żelazo zaś stopione. A teraz, panie Dambleuse, co pan ma do powiedzenia?

Iggins powstał przy ostatnich słowach i przybrał w głosie i postawie postać oskarżającego sędziego, tak, że sędzia prawdziwy nie miał już tu nic do powiedzenia.

— Co pan ma na to do powiedzenia? — powtórzył silniejszym jeszcze głosem Iggins.

Starzec powstał również. Oskarżyciel i winny stali teraz naprzeciw siebie i przez długą chwilę badali się wzrokiem. W końcu René odpowiedział:

— Mam to do powiedzenia: to wszystko jest prawdą! To prawda! — krzyknął nagle wpadając w stan silnego podniecenia. — To prawda! Uczyniłem to wszystko! Plan mój doskonale był przeprowadzony. Żeby nie jedna drobna pomyłka, nie zostałbym wykrytym. Ale to rzecz małej wagi. Gdybyście mnie nie byli odkryli, sam bybym się wydał.

Tylko przedtem dokończyć chciałem dzieła swojego. Ale wy przeszkodziliście mi w tem. Teraz to już koniec wszystkiego. A więc, przyznaję, przyznaję się do wszystkiego!...

Zakończenie.

Wyznanie to zadziwiło nas wszystkich. Dziwne, niewyjaśnione wzruszenie ogarnęło mnie nagle, kiedy patrzałem na tego starca, mordercę, przyznającego się tak otwarcie do wszystkich zbrodni swoich.

— Usiądę, aby mówić — oświadczył Dambleuse podniesionym głosem. Tak, wszystko to jest prawda. Nie będę panu wyjawiał wszystkich moich tajemnic. Miałem ich wiele w życiu. I jeżeli myślicie, że urodzenie mojego syna jest pierwszą z nich — co zresztą jest błędnem mniemaniem — to możecie spokojnie twierdzić, że nagłe zjawienie się tego „Anglika" w willi „Bzów", kiedy przybyłem tam zamordować senatora Poivrier — jest naprawdę ostatnią.

Ale ani jednej, ani drugiej nie wyjaśnię wam.

Bo widzicie, dwie chęci są we mnie: mówić i milczeć. Jestem tylko człowiekiem, wielkim człowiekiem, to prawda — dodał dumnie. — Tę tajemnicę, której wykrycia mozolnie szukałem — tajemnicę, którą już odkryć miałem, żaden umysł ludzki nie zgłębi, nie zrozumie.

Dziś, mały, nędzny sędzia może odebrać życie komuś, ale „jutro" może nam okazać całą, niezmierzoną przyszłość! Dużo jest mędrców i uczonych, pracujących — nad twórczą formułą, jest ludzkość cała, dysząca pragnieniem wiedzy, ale ten człowiek nędzny, ten ociekający krwią gilotyny, ten jeden mógł się stać wielkim! Stawiać mu będą pomniki na rogach wszystkich ulic miast — ludzie świata nowego.

Zabiłem. Zabiłem senatora Poivrier i jego córkę, i tego zazdrośnika, którego nazywacie „Anglikiem" — o którym nic wam nie powiem.

Zabiłem tego głupiego oficera, którego miłosne kalkulacye źle oddziałać mogły na moje dzieło. Zabiłem tego Markasa, który wiedział za wiele. Ale nie myślcie, że czyniłem to dla obrony własnej.

Cóż śmierć znaczy dla takiego jak ja człowieka? Bo dla mnie tajemnica śmierci mogła się stać jasną!

Nie! ja chciałem tylko uciec przed tem, co wy nazywacie wstydem.

Ja pragnąłem tylko — zwłok! Mam lat siedmdziesiąt. I jeżeli wasze życia tu wszystkich zebranych dałyby mi tę pożądaną zwłokę — zabiłbym i was bez wahania i paznogciami własnymi wydarłbym z ciał waszych poszukiwaną tajemnicę!

Chciałem zwłoki.

Kiedy dowiedziałem się, że Poivrier jest na tropie moim, że odmawia dla wnuczki związku z moim synem — rozważyłem wszystko głęboko.

Nasuwały się dwie hypotezy.

Albo Poivrier powie wszystko mojemu synowi, albo nie powie nic.

Z początku milczał i gdyby był milczał dalej, żyłby jeszcze on i jego córka.

Ale on wtajemniczył we wszystko córkę swoją.

Wiem o tem. Powiedział mi to mój syn. Mój syn! Jerzy!

Kiedy Poivrier zerwał zaręczyny jego ze swoją wnuczką, syn mój postarał się o możność rozmowy poufnej z panią de Beaumont.

Kobieta nie umie dochować tajemnicy. Powiedziała tyle, że wzbudziła podejrzenia w duszy Jerzego. Powiedziała tyle, że syn mój zaczął mnie śledzić. Z tego śledzenia wynikło niespodziane bardzo odkrycie zwłok małej dziewczynki. Tę zabiłem przypadkowo. Ofiary być muszą na drodze wiedzy.

Ten pierwszy cios mogłem jeszcze odwrócić od siebie. Ale wiem, co jest kobieta. Wiedziałem, że syn mój zechce dociec całej prawdy i że pan de Beaumont w końcu wyjawi mu wszystko.

Kocham mojego syna, kocham go na równi z mojem dziełem. Może więcej nawet, bo jak widzicie, poświęciłem je synowi mojemu.

Gdyby był wszystko wiedział, byłby może milczał. Ale ja się tak bałem, żeby nie padł ofiarą. A ja bez mojego syna nie rozumiałem życia!

A więc trzeba było zapobiedz, aby nie dowiedział się o wszystkiem i dlatego pozabijałem wszystkich tych, których życie było dla mnie groźbą.

I pracowałem dalej. Pracowałem, nakazując sercu milczenie. Musiałem się spieszyć — dotrzeć do rozwiniecia zagadki, a potem wysłać spisane akta moje do Akademii — wysłać list do prokuratora — wydać się w jego ręce, a potem umrzeć w chwale najwyższej i hańbie!

Takim był mój plan.

Byłem już na ukończeniu tej syzyfowej pracy, tego olśniewającego odkrycia:

Ale nadeszła ta cała historya z Elmirą Bourdon.

Ta głupia kobieta odkryła wszystko. Odkryła wszystko siłą miłości swojej dla mojego syna. Tej miłości nie brałem w rachubę.

Długo zastanawiała się z uporem prawdziwie chłopskim. I zebrała tyle dowodów, że pobiła mnie nimi. Przyszła do mojej pracowni, rzuciła się do moich nóg i zawołała:

– Ja pana nie wydam – ale niech pan ratuje małego! Jeżeli on nie będzie uratowany, powiem wszystko!

Nie chciałem jej zabić. Zamknąłem ją tylko.

Myślałem sobie: „Kiedy doprowadzę moje prace do końca, uwolnię ją, uwolnię syna – a potem się zabiję! Ale wyście przyszli z waszymi żandarmami. I pan, panie Iggins. I trzeba było coś postanowić! Pan stał pod zamkiem na wózku, obserwując mnie. Widziałem pana, widziałem ogień waszych cygar.

Tak! tak! To była wielka nieostrożność, panie Iggins. Wtedy przywołałem Elwirę.

Powiedziałem jej, że sam nazajutrz wydam się w ręce władz, powiedziałem jej, że życie sobie odbiorę. Ucałowała moje ręce, bardzo wzruszona. Ten fakt właśnie chciałem panu pokazać, panie Iggins. Zaledwie doprowadziłem ją do tego gestu – zamordowałem ją i ciało jej w płyn zamieniłem. To rzecz nie trudna, ale zabrała mi wiele czasu. Oto wszystko! We wszystkich rachubach moich okazałem się ścisłym i logicznym, ale zapomniałem o jednem: o wielkiej, fanatycznej miłości tej starej dla Jerzego. Nie mogę już naprawić tego. Dlatego też zapłacę za te nieostrożności – życiem swojem. Chciałbym tylko jeszcze ucałować mojego syna. Ale prawda, jeszcze jedno. Zabiłem Markasa odrobiną trucizny, którą ukrytą miałem w plombowanym zębie. Ten szczegół jest śmieszny – prawda? W zagłębieniu zęba jednak można łatwo ukryć truciznę zabójczą.

Połowa tej trucizny zabiła Markasa – druga połowa mnie zabije! Oto koniec!

I zanim mogliśmy zapobiedz temu, stary Dambleuse uniósł rękę do ust i padł, jakby piorunem rażony.

Posłaliśmy do dzienników komunikat bardzo dyskretny. Gdyby napisane tam zostało wszystko – opowieść moja byłaby bezcelową.

Jerzy Dambleuse odzyskał wolność tego samego dnia jeszcze i wyjechał natychmiast z Paryża.

W podróży tej towarzyszyła mu panna de Beaumont. Od dnia tego nie widziałem już więcej Igginsa ani Daltona. Wieczora tego pożegnali się ze mną serdecznie w restauracyi, gdzie po raz ostatni zebraliśmy się wszyscy.

– Jedziemy – rzekł do mnie Dalton. – Powrócimy za rok może. Za rok, w ten sam dzień zadzwonię do twojego mieszkania. Teraz musimy się udać bardzo daleko.

– Gdzie?

– Nie wiem. Pozostał jeszcze ten Anglik, którego Iggins nazywa szpiegiem, a stary Dambleuse nazwał „zazdrośnikiem". Musimy dowiedzieć się wszystko o tym człowieku – albo nie powrócimy wcale.

I otóż upływa drugi miesiąc od oznaczonej daty powrotu. Dzwonek u moich drzwi nie odezwał się w dniu oznaczonym. Dalton nie powrócił i nie wiem, czy powróci już kiedykolwiek.

KONIEC.

DANIEL ZALLSTROM.

Los jaskółki.

NOWELKA SZWEDZKA.

– Otóż jaskółki odleciały – powiedziała mi moja mała siostrzeniczka pewnego jesiennego poranku i miła dziecina ze smutkiem spojrzała na zawieszone na brzegu dachu gniazdko opuszczone.

Tak jest, jaskółki odleciały, aby nie powrócić aż dopiero na wiosnę, a i ja przyznać się muszę, iż żal mi prawdziwie tego ich odlotu.

Zwiastuje to nam koniec lata i nie usłyszę już tego wesołego świergotania, które na mem poddaszu tak dobrze do marzeń mnie usposabiało.

Trzeba bowiem wam wiedzieć, iż para jaskółek zbudowała sobie gniazdko przy oknie mego pokoiku, że tam wychowała swe pisklęta i że przez całą piękną porę wiosny i lata weseliła mnie swoim gwarem. Poznajomiłem się dobrze z temi miłemi ptaszkami i staliśmy się bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Z całem zaufaniem siadały na mojem oknie. Opowiadały mi o kłopotach swego gospodarstwa i o przygodach w czasie wędrówek do cieplejszych krajów. Mówiły mi ile mają swych małych w gniazdku – słowem znałem wszystkie szczegóły ich życia i na ziemi i nad ziemią.

Stąd też dowiedziałem się o rozmaitych wypadkach i przejściach w życiu jaskółek, a że moja siostrzeniczka jest tak zasmucona odlotem swych miłych sąsiadek, opowiadam jej tedy historyjkę, która przekonać może, że i ptaszki nie są wolne od zadraśnięć strzałek, co to serduszka ranią.

Na dachu starego zamku, około rynny zakończonej głową strasznego smoka, znajdowało się gniazdo i misternie i trwale zbudowane. Tam mieszkała rodzina jaskółek, składająca się z ojca, matki i dwóch córek, tak niepodobnych do siebie, iż wierzyć trudno było, iż to są siostry rodzone.

Starsza wyniosła i dumna patrzała z pogardą na wróble, które słusznie, czy niesłusznie są uważane za włóczęgów i łotrzyków ptasiego świata; druga miła i uprzejma, była ulubioną pszez cały ród skrzydlaty, zawsze bowiem umiała znaleźć przyjemne słowo nawet dla wrony i dla puszczyka, a co więcej umiała sobie zjednać nawet młynarskiego kota, który, gdy przechodziła zbyt blisko niego, zamykał oczy by nie dać się uwieść zanadto silnej pokusie.

Rodzice mieli jej to za złe. Szczycili się, iż pochodzą z starożytnego rodu, który od wieków z pokolenia w pokolenie zamieszkiwał pod sklepieniem przedsionka egipskiego pałacu. Nie pojmowali, a raczej nie chcieli pojąć, że córka ich mogła się znajomić z takim drobiazgiem, jak dzierlatki i wróble.

– Nie wypada — mówił ojciec – aby osoba taka jak ty zbliżała się do motłochu, powinnaś dbać o stosunki i szanować swoje stanowisko.

– Ależ tatusiu – mówiła poczciwa jaskółka – wszakże wszystkie ptaki podobne do siebie, przecież jednakie mają i dzioby i skrzydła.

– Zapewne – odpowiadał poważnie ojciec – lecz nie wszystkim dane karmić się pasztetami z much i zamieszkiwać na wysokościach gmachów. Spojrzyj naprzykład na skowronka.

Na te słowa młoda ptaszyna spuściła główkę i gdyby nie czarne piórka, możnaby było zobaczyć, iż się rumieni jak młoda panienka posądzona o pewną sympatyę. Tego skowronka właśnie o którym ojciec wspomniał, kochała ona szczerze i prawdziwie przez niego była kochaną.

Z natury jaskółki to marzycielki, skowronki to poeci. Cóż więc dziwnego, iż te ptaszki do siebie zagruchać miłośnie musiały. Czyż to nie było konieczne? i czyż mieszkanie na wysokim dachu i pasztet z much na obiad, musiał ją pozbawić tego, co mogło stanowić szczęście jej całego życia?

Skowronek mieszkał pod gołem niebem i raźnie każdego dnia śpiewał. Melodye jego były żywe i wesołe, czyste jak powiew wiosny, śmiejące się jak słońce po deszczu. Za swą muzykę powietrzną nie żądał on ani pieniędzy, ani orderów. Śpiewał on dla rolnika, który w pocie czoła swe pole uprawiał, dla wiejskiej kobiety, piorącej swe szmatki w potoku, dla poety błądzącego w cieniu głuchego lasu...

Śpiew jego rozumieli wszyscy, i jego kochana jaskółka rozumiała go także, gdy razem wzbijali się wysoko – bardzo wysoko.

Nareszcie jednego dnia skowronek postanowił uderzyć czołem przed rodzicami swej ukochanej i prosić jej w zamęźcie.

O kroku tym stanowczym nie myślał bez trwogi, lecz odwagi miłość mu dodała.

Ustroił się o ile potrafił, i zaczął śpiewać między wonnemi trawami na łące, gdyż nie śmiał podnieść się do lotu, nie śmiał wzbić się na szczyt tych lip wiekowych, które ocieniały mieszkanie rodziny szczycącej się pewną opieką samego dziedzica, który niekiedy nawet pod tym samym dachem zamieszkiwał.

Skowronek wiedział o tem wszystkiem, nie łatwe więc było jego zadanie, zawahał się na chwilę, lecz prawdziwe uczucie przemogło, zanucił śpiew tak żywy i tak wdzięczny, iż cała okolica nim zabrzmiała, a potem jednym rzutem swych bystrych skrzydełek znalazł się przy mieszkaniu swej miłej jaskółeczki. Usiadł na dachu i znowu rozległ się śpiew donośly.

– Czego chcesz! – zawołał stary ojciec, wysuwając dziób z gniazda.

Skowronek chciał mu odpowiedzieć jedną z swych szczęśliwych melodyi, lecz serce jego ścisnął żal niewypowiedziany, a głos tylko żałosne tony wydać potrafił. Śpiewał tak, jak nigdy nie śpiewał, nigdy bowiem jeszcze nie doznał cierpień pierwszej miłości.

Na dziedzińcu kogut stojąc na jednej nodze, słuchał go w zadumaniu, a siedząca na sąsiednim drzewie stara, sucha, złośliwa sroka, ironicznym śmiechem odpowiadała na te czułe westchnienia.

Tymczasem skowronek zdołał nareszcie wypowiedzieć swą prośbę i otrzymał tylko „nie" suche i gniewne.

– Ktokolwiek – mówił dumny ptak – ma córkę na wydaniu, niezawodnie za poetę wydać jej nie zechce – a zarozumiały skowronek wszak ty tylko poeta, nieumiejący nic robić i który nie potrafił się postarać o takie stanowisko, jak ci ludzie, którzy tak dostatnio i tak spokojnie mogą próżnować na świecie. A on, nawet stosunków sobie zrobić nie umiał. Czyż więc ma przyszłość przed sobą?!...

Mieszka w polu i nie posiada nic takiego, coby domem nazwać można było. Co do jego pożywienia, to aż litość bierze – i on śmie marzyć o poślubieniu szlachetnej jaskółki. Nie, stokroć nie – o tem myśleć nawet nie wolno.

Cóż bowiem to znaczy, iż jego śpiew harmonijny tak mile dźwięczy pod błękitem nieba. Niema on ani domu, ani dobrej kuchni tembardziej. Niech więc zdrów bywa.

Biedny zakochany skowronek odleciał daleko, bardzo daleko, w głębi doliny okolonej sosnowym lasem skrył się w trawie wysokiej i wspomniał sobie te godziny swej miłości, tak szczęśliwe, lecz tak krótkie niestety. Przypomniał on sobie ten dzień, w którym po raz pierwszy spotkał swą kochaną jaskółeczkę pod krzakiem kwitnącego głogu, przypomniał sobie te jej wdzięczne ruchy, jej miłe świergotanie i śliczną jej główkę.

Jakiż on był szczęśliwy wtedy!

A teraz!?

Powoli wzniósł się on w powietrze, wzleciał nad wierzchołki sosen i zaczął znów śpiewać, naprzód cicho, później mocniej nieco, aż nareszcie odezwał się pełnym głosem, aby wyśpiewać miłość prawdziwą, miłość zawsze młodą, miłość niezmienną, która przezwycięża wszelkie przeszkody, która dotrwa do grobu, a i za grobem nie umrze.

W tej chwili drogą przez dolinę przechodził młody człowiek z ładną dziewczyną, swą narzeczoną. Pod cieniem drzewa wziął ją za rękę i na jej dziewiczych ustach złożył pierwszy pocałunek. Dalej poszli w milczeniu, lecz dziwnie rozmarzeni i niezawodnie, iż zdawało im się, że to samo myślą, o czem ptaszek śpiewa.

A cóż się działo w gnieździe jaskółek? Oto gwałtowny ojciec obrzucał córkę najprzykrzejszemi wymówkami, przyczem nie zabrakło uderzeń dziobem i pazurkami.

Matka płakała, a młoda jaskółka nie wiedziała, co z sobą począć.

– Nie chcę – mówił niewzruszony ojciec – raz jeszcze nie chcę, abyś myślała nawet o tem szaleństwie, które taką ujmę niełylko rodzinie, lecz całemu rodowi przynieśćby mogło.

– O tych marzeniach zechciej łaskawie zapomnieć. Mam dla ciebie związek zupełnie odpowiedni w ptaku, którego tak dobrze znamy, a który jak wiesz ma tak piękne mieszkanie, w kościelnej wieży. Nie myśl się opierać, płacz bądź pewną do niczego nie doprowadzi. Ślub twój jutro.

Tak się też i stało. Nastąpiła jesień. Suche liście, które tak dobitnie przekonywują o nietrwałości tego co na świecie, zasłały ziemię, przy

silnym podmuchu wiatru. Brzozy swemi opuszczonemi gałęziami przypominały szkielety. Trawy na łąkach pożółkły, a wiatraki skrzypiąc swemi wielkiemi skrzydłami zdawały się mówić „tyle jeszcze mamy do zmielenia". Słowem niewesoło to było, tak szaro, tak jednostajnie...

Jednostajnem też i niewesołem było życie jaskółki wydanej za mąż z woli ojca za mieszkańca dzwonnicy kościelnej. O swoim lubym skowronku zapomnieć nie mogła. Z wysokości swej wspaniałej wieży spoglądała tęsknie na tę dolinę, teraz tak pustą, gdzie wesoło i swobodnie kąpała się w powietrzu i latała z swym lubym.

Nie myśleć już o miłości, niema skowronka, a i pokrewnych jaskółek też już niema. Przyszedł czas odlotu ptaków i wszystkie wyruszyły pod cieplejsze niebo.

Miły, kochany nasz ptaszek odlecieć nie mógł, niemądry jakiś myśliwy przestrzelił mu bowiem skrzydło. Mąż kilka dni z odlotem zaczekał, lecz choć jaskółka trochę wydobrzała i nawet podlatywać zaczęła, o dalekiej podróży i myśleć nie można było. Pożegnał ją więc i pozostawił samą w tej pysznej wieży, gdzie tak słusznie uczuła się samą i opuszczoną od całego świata.

Smutna i słaba próbowała jeszcze latać, krążyła koło kościoła i spuszczała się na cmentarz, gdzie patrząc na nią grabarze, z żalem mówili: „biedna ptaszyna, nie pociągnie długo".

I sprawdziło się to zupełnie. W listopadzie w dzień jasny, słoneczny, gdy szron swymi cudnymi kryształy wszystkie drzewa okrył, biedna uczuła swój bliski koniec. Zebrała jednak wszystkie siły, aby dolecieć do tego głogu, o którym tak żywą zachowała pamięć.

Tam pod gałązkami, które mróz brylantami okrył, zapomniała o tych cierpieniach, jakie ją spotkały, zapomniała o mężu, który ją tak samą pozostawił, słowem zapomniała o wszystkiem, aby tylko myśleć o pięknych dniach wiosny i o skowronku, który swą miłość tak czule umiał jej wyśpiewać. Z tą myślą nasza jaskółka schowała główkę pod skrzydełko i w taki sposób zakończyło się niewesołe życie dobrej ptaszyny.

W dni kilka potem, ten, którego tak kochała, powrócił do niej. Spodziewał się, iż odleci z innemi ptakami i że ją spotka tam w cieplejszych krajach. Oczekiwania zawiodły go jednk, mimo więc chłodu poleciał, aby ją zobaczyć, pod zimnem niebem północy, pod jej ojczystem niebem.

Wszystko ma swój koniec, więc i zima się skończyła, wiosna potrafiła roztopić śniegi, zazieleniło się na świecie, a wtedy ten młody człowiek, który tak wysłuchiwał skowronka, znalazł dwa ptaszki skostniałe. Podniósł je, i serce żywo mu zabiło, przypomniał sobie bowiem to wrażenie jakiego doznał. Chciał ograć, chciał ożywić jaskółkę i skowronka, lecz już zapóźno było.

Jakżeż żywo przypomniał on wtedy sobie dzień ten, gdy ośmielił się raz pierwszy złożyć pocałunek na ustach swej narzeczonej, gdy ptaszek takie serdeczne nuty wywodził... A piękne były, tak jak pierwszy pocałunek jest niezawodnie najpiękniejszą chwilą w życiu.

KONIEC.

K. Wilczkowski.

Jednemu szydła golą — drugiemu brzytwy nie chcą.

HUMORESKA.

(Dokończenie).

— Ależ Zeniu, Zeniu! czyż mnie nie poznajesz?

— *I not unterstand.* Jestem William Kentley — rzekł zwolna po angielsku, akcentując swoje nazwisko, a jednocześnie starał się uwolnić z objęć Malwiny.

— To być nie może, ja cię poznaję, nie puszczę cię!

Lecz Strzycki-Kentley wyrwał się wreszcie z jej objęć i zagadnął do zwabionych krzykiem gapiów:

— Czego chce odemnie ta kobieta?

— To mąż mój, łapcie go! trzymajcie, to oszust!

— Waryatka! mruknął przez zęby Strzycki-Kentley i zaczął się szybko cofać, Malwina zaś, biegnąc za nim, nie przypuszczała, że pogorszy tem tylko swe położenie. Nadszedł wkrótce *policeman* i wsadziwszy ją przy pomocy przechodniów do fiakra, odwiózł do szpitala św. Jakóba...

. . . .

Dozorcy w szpitalach dla umysłowo chorych umieją się zżyć z nimi i często znajdują u nich więcej rozsądku i uczucia, aniżeli u tak zwanych ludzi normalnych. Większą zaś niż gdzieindziej mają sposobność w New Yorku, gdzie ilość obłąkanych wzrasta z przerażającą, iście amerykańską szybkością.

Dozorczyni Malwiny, mistress Luiza Kentley (gdyż porzucona przez męża musiała wrócić do dawnego zajęcia), była ze swej pacyentki bardzo zadowoloną. Strzycka wpadła w apatyę, chodziła bezmyślnie po szpitalnym ogrodzie i modliła się, na wszelkie zaś zapytania o swej przeszłości nie odpowiadała. Mistres Luiza, chcąc ją ująć, poprosiła ją pewnego razu do swego pokoju na herbatę.

Gdy Strzycka weszła, rzucił się jej w oczy stojący na biurku portret... Zenona.

— Skąd pani masz portret mego męża? — krzyknęła całkiem niespodzianie do dozorczyni i chwyciła za ramki.

— Ależ to jest mój mąż — rzekła łagodnie mistress Luiza.

Strzycka rzuciła się ku niej.

— Co, zwaryowałaś? Twój mąż? A, to tyś go sobie przywłaszczyła? tyś mi męża odebrała?...

Mistress Luiza przypuszczając, że chora dostała ataku furyi, a wiedząc z doświadczenia, że taktyka lekarska nakazuje wówczas odwrót, dyskretnie usunęła się z pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi. Za chwilę dwóch silnych posługaczy przeprowadziło Strzycką do osobnej, materacowej celi..

. . . .

Stare przysłowie polskie mówi, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle, przekonywujące zaś tego dowody miał odczuć w kilka dni później Strzycki-Kentley.

Mistress Luiza po głębszej rozwadze, doszła do przekonania, że zajść musiało jakieś nieporozumienie. Udała się więc do celi, w której zamknięto Strzycką, a po godzinie rozmowy wyszły z niej obie z zaczerwienionemi od płaczu oczami, trzymając się za ręce. Po krótkiej rozmowie z doktorem pojechały szpitalnym powozem niby na spacer, a w rzeczy samej w celu odszukania owego kuzynka, młodego prawnika...

. . . .

Zasępiony siedział Strzycki-Kentley w pokoiku swym na 12 em piętrze, jednej z kamienic przy Milwauke-Street. Szczupłe fundusze wyczerpywały się powoli, zajęcia zaś znaleźć nie mógł. Trudno było pójść za prostego robotnika do fabryki, miejsca zaś *clare'a* nie chciano mu powierzyć z powodu niedostatecznej znajomości angielskiego.

Po spotkaniu Malwiny nie wychodził nawet na ulicę, chyba wieczorem. Bał się zetknięcia z którąkolwiek z żon. Smutna to rzeczywistość, mieć dwie żony, zwłaszcza nie wrogo usposobione. Wolałbym mieć jedną, lecz taką, którąby mnie unikała, myślał nieraz. Chyba znów do Europy drapnę!...

Wtem ktoś zapukał.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Strzycka w towarzystwie kuzyna i dawej Luizy Rockplayt, obecnej pani Kentley.

Przerażonemu widokiem obu żon naraz Strzyckiemu, wydało się, że usuwa się podłoga z pod nóg i dałby wiele, żeby to było rzeczywistością. Stał z bezradnie opuszczonemi rękami.

— Panie — zaczęła pierwsza mistress Luiza — wytłómacz nam pan, jak to można być jednocześnie Kentley'em, a według słów obecnej tu żony pańskiej, Strzyckim?

— Bo widzi pani... ja... to... właściwie chciałem powiedzieć... nie ja, a Kentley, ale to nie Kentley, tylko ja...

— Zrozumieć z tego nic nie jesteśmy w stanie, więc też zostawimy pana, panie Strzycki, albo jak wolisz mr. Kentley z pierwszą żoną pańską panią Strzycką, my zaś, to jest ja i kuzyn pańskiej żony wyjdziemy, a spotkamy się o 8 ej wieczorem w restauracyi „Simpson", na Washington-Street, gdzie razem zjemy obiad i naradzimy się, co dalej czynić. Lecz niech go pani pilnuje, by się nie ulotnił i znów się po raz trzeci nie ożenił, zmieniwszy poprzednio nazwisko!...

. . . .

Gdy Strzyccy wkroczyli do głównej sali restauracyi „Simpson", zastali tam już przy jednym ze stolików mistress Luizę z kuzynkiem Strzyckiej. Te kilka godzin przepędzone razem, zbliżyły ich z sobą i rozmawiali, jak dobrzy, starzy znajomi. Wkrótce podano wykwintny obiad. Mistress Luiza wciąż coś szeptała do ucha Strzyckiej, a gdy podano po deserze szampańskie, rzekła:

— Jak wynikła cała ta historya, każdy z nas, zdaje się, już wie, lub się domyśla. Ale to, co wie, niech zachowa wyłącznie dla siebie. Dość, że dzięki nieszczęsnemu Kentley'owi pani Strzycka odzyskała męża, do którego ja żadnych praw nie roszczę, bo przecież mężem mym w całem słowa tego znaczeniu jeszcze nie był...

— Kiedyż ja, jako Strzycki umarłem, a żyję jako Kentley...

— Nie pańska to rzecz — przerwała mu mistress Luiza. — Przywróceniem pana do życia zajmie się obecny mój narzeczony — dodała, wskazując wzrokiem na kuzyna Strzyckiej — który jednocześnie wyrobi mi rozwód z panem i wywindykuje spadek po Richardzie Kertley'u, gdyż właściwy jego spadkobierca, a mój niedoszły właściwy mąż, kilka dni temu, podczas karkołomnej jazdy na automobilu, kark skręcił. Powtórzcie więc sobie państwo tu w New Yorku miodowe miesiące, a gdy ukończymy wszystkie formalności, odwieziemy was, udając się w poślubną podróż do Europy...

— Tak, panie — potwierdził kuzynek Strzyckiej — my (tu stuknął się w okolicę żołądka), adwokaci, wszystko możemy: z żywego zrobić umarłego, a z umarłego żywego... Główna rzecz honoraryum!...

Kronika tygodniowa

Zanim, wedle zapowiedzi, zabierzemy się do polityki, zawadzić musimy o pogodę, choć zajmowaliśmy się nią już w poprzednim numerze. Piękna polska jesień rozkapała nam się na dobre, a choć na plantacyach kasztany tu i ówdzie kwitną, te same pisma codzienne, które nie tak dawno jeszcze pocieszały, że jesień wynagrodzi nam letnie zmartwienia, godzą się z rezygnacyą, iż z każdym dniem i tygodniem będzie coraz gorzej, na listopad zapowiadają kompletną zimę, natomiast są zdania, że tego roku w grudniu nie będziemy obchodzić Bożego Narodzenia, lecz Zielone Święta, a w styczniu i lutym nastaną takie upały, iż każdy, kto jeszcze ma futro, będzie je mógł zanieść do zakładu zastawniczego.

Dałby Pan Bóg, aby się te przepowiednie spełniły, listopadowe mrozy zniesiemy jakoś łatwiej, grzejąc się wspomnieniami nie tak dawno minionego lata i nadzieją rychłej wiosny. Zresztą to dopiero jesień kalendarzowa, więc marznąć nie powinno się zbytnio. Uczeni metereologowie są zdania, że kula ziemska zaczyna wracać do tego samego okresu temperatury, jaki panował u nas w epoce tryasowej, gdy nad Wisłą wygrzewały się na piasku hipopotany, a nosorożce, z których ostatniego odkopał niedawno *Kuryerek* nad Nidą, nie należały do rzadkości. Wówczas śmialibyśmy się z mizeryi węglowej, która dokucza już, a w miarę zbliżania się zimy, stanie się jeszcze większa, jak to zresztą zapowiedzieli i ministrowie, dziwnym trafem nie mylący się nigdy, o ile wydają podobne orzeczenia. Październik powinien się obejść bez węgli, listopad jakoś przetrzymamy, a w grudniu będzie już zupełnie ciepło, zatem i robienie zapasów węglowych na zimę zbyteczne, chyba gdyby kto chciał puścić je na pasek, bo chęć kupna mających, t. j. takich, którzy chcieliby, aby im było ciepło, nie braknie. Kronikarz się przekonał sam na sobie, że posiadanie węgli w piwnicy jest dla danego osobnika wprost katastrofą. Obawa, aby ktoś nie włamał się i nie pozbawił go jego skarbów, spędza sen z powiek, bo dzisiaj węgle są naprawdę owym skarbem pod ziemią ukrytym, o którym śpiewał dziadek ze „Szopki": (Gdy na Kraków bieda spadnie, to je lud dyabłom ukradnie co tych skarbów tam pod ziemią pilnują na dnie...).

Od 15. września zapowiadano zmianę temperatury i pogody i nie zawiedziono się bynajmniej, gdy bowiem jeszcze 14. rano było chłodno i desz padał, 15. mokre natomiast było popołudnie i chłodniejsze niż rano.

Bogu dzięki, że skończył się bodaj strajk pocztowo-telegraficzny, który mógł bardzo łatwo pociągnąć za sobą i inne, bezrobocia mają bowiem to do siebie, że podobnie jak grzyby po deszczu, lubią towarzystwo. Na tym strajku wyszliśmy o tyle dobrze, iż przez kilka dni, gdy drut telegraficzny świętował, nie potrzebowaliśmy się irytować różnymi politycznymi koziołkami Lloyda Georgea, a poważne pisma bawiły swych czytelników wiadomościami o śpiewających w kwartecie żabach, lub o synku, który się urodził, oczywiście w Ameryce, a po kilku dniach zamienił się w córeczkę, choć rodzice gotowi złożyć przysięgę, iż skonstatowali na własne oczy, iż był to kandydat na mężczyznę, nie zaś na kobietę. W tym samym czasie ugryzł nas też pan Adolf Nowaczyński, czujący do *Nowości Illustrowanych* głęboką urazę z powodu, że ośmielają się drasnąć czasem jego majestat. Odzywa się wówczas wielkim rykiem, usiłując naśladować głos lwa, nie trzeba jednak być znawcą, aby rozpoznać, iż to nie nie lew, lecz ów rumak, na którym jeździł i z którym rozmawiał bł. p. pan Balaam.

Drugi raz spotkało nas już to szczęście, że pan Adolf zajmuje się nami, zmieniło się jedynie towarzystwo w jakiem nas pomieścił. Pierwszy raz były *Nowości Illustrowane* oraz *Goniec* owymi potępieńcami, na które rzucał gromy, obecnie sytuacya zmieniła się o tyle, że miejsce *Gońca* zajął *Kuryer Illustrowany. Goniec*, przeszedłszy w ręce narodowych demokratów, został tem samem oczyszczony ze swoich win i błędów, a pan Adolf spogląda nań łaskawszem okiem.

Że poczta i telegraf zastrajkowały, temu się dziwić nie można, każdy stara się o to, aby byt swój poprawić, niektóre zaś wynagrodzenia w tej dziedzinie administracyi były śmiesznie niskie jeśli się zważy, jaką wartość ma obecnie marka. I dawniej nie było tam lepiej, za nocną służbę pobierało się dodatku mniej więcej koronę, za tę kwotę można było jednak zjeść lekką kolacyę, napić herbaty i wypalić kilka papierosów. Obecnie płacono za tę służbę kilkanaście marek, t. j. tyle, iż nawet bułki za tę kwotę nie kupi. Urzędnicy poczty i telegrafu poszli jednak troszkę za daleko, żądając dla siebie pokaźnych zapomóg. Ponieważ jednej kategoryi urzędników nie można inaczej traktować, jak inne, należałoby zatem podobne zapomogi wypłacić wszystkim pracownikom państwowym, a to pociągnęłoby za sobą drobny wydatek, bo tylko... sześćdziesiąt miliardów, co jest zresztą niczem w porównaniu z dotychczasowym deficytem i wartością marki. Pan minister skarbu zaglądnął do kasy, wzruszył ramionami i rzekł do deputacyi: „nie zdzierżę"!... a ona zrozumiała, że z próżnego nikt nie naleje i zadowoliła się obietnicą poprawy bytu urzędniczego, nie idącej tak daleko, jak tego pierwotnie żądano.

Zawiedzione nadzieje urzędników poczty i telegrafu najboleśniej odczuli wszelkiego rodzaju kupcy, którzy byli zdania, że cała owa podwyżka znajdzie się w ich kieszeni. A ponieważ ci panowie to są figlarze, potrafili tak czy owak postawić na swojem. Na wypadek podwyższenia płac urzędnikom miały również podskoczyć i ceny najpotrzebniejszych towarów, co się dzieje zawsze, ilekroć zwiększa się na nie popyt. — Zapomogi spaliły na panewce, kupcy mimo to podnieśli ceny, aby odbić stratę, jaką ponioszą, nie mogąc tyle sprzedać, ile się spodziewali.

Co się tyczy owego podskakiwania cen, to stoi ono w związku z wartością marki polskiej, dziwnym zbiegiem okoliczności stosunek ów bywa raz prosty, drugi raz odwrotny, czy marka bowiem traci, czy zyskuje na wartości, ceny idą w górę. Wysoki komisarz od drożyzny, a tym jest pan minister skarbu, obiecuje wprawdzie na najbliższy czas najrozmaitsze środki zaradcze, mające ratować naszą markę od przedwczesnej śmierci z powodu braku sił żywotnych, zapatrujemy się na to jednak dość sceptycznie, wszelakie bowiem dotychczasowe medykamenty z warszawskiej apteki skutku nie miały a oświadczenia najwyższych dygnitarzy, o ile ich oczywiście nie przekręciły telegramy, brzmią nieraz dość śmiesznie. I tak czytaliśmy niedawno czarne na białem, że stan buraków cukrowych jest u nas bardzo pomyślny, wobec czego można się spodziewać iż cukier w kompanii tegorocznej podrożeje co najwyżej o pięćdziesiąt marek na kilogramie, zdrowy rozsądek mówi, że ponieważ wartość marki ma niebawem wzróść, zbiór buraków zaś przedstawia się pomyślnie, cukier powinien potanieć, a nie podrożeć o pięćdziesiąt marek na kilogramie.

Zupełnie to samo mamy z pieczywem, które od upiegłego tygodnia podrożało znacznie, prawdopodobnie dlatego, iż żniwa wypadły pomyślnie i jak urzędowo stwierdzono, zbiory wystarczą nie tylko na pokrycie wewnętrznej potrzeby, ale pozostanie jeszcze pewna nadwyżka, którą ewentualnie będzie można wywieść za granicę. Panowie wozignojki tak sobie ową zapowiedź wzięli do serca, że zapasy zboża pozamykali w stodołach i śpichlerzach, czekając, aż nadejdzie owa upragniona pora, kiedy będzie się można pozbyć tej „nadwyżki" w sposób legalny. W stodołach zatem zboża dość, na targu mało, ceny pieczywa idą zatem w górę, na tym interesie zarobić bowiem musi agraryusz, młynarz, wreszcie piekarz, a ci pa nowie ladajakim zyskiem się nie kontentują. Komisye wojewódzkie i miejskie ustalają wprawdzie ceny, ale... „dziad swoje, a baba swoje".

W dniu 19 września rozpoczyna się jesienna serya przedśmiertna naszego Sejmu nie jest też wykluczonem, że może ona przyczynić się do przedwczesnego zgonu obecnego gabinetu, co dałoby powód do wewnętrznego chaosu i rozprzężenia jeszcze w wyższym stopniu, niż się niem dotychczas cieszymy. Choć zatem zapowiadają nam meteorologowie rychłą wiosnę w przyrodzie, w polityce spodziewać się jej nie można i źle czyn, kto zbyt „majowo" zapatruje się na sytuacyę.

A tu wybory zbliżają się coraz większym krokiem, kandydatów, ubiegających się o zaufanie ogółu, coraz więcej, w powietrzu wisi zaś groźba, że wybory mają się odbyć na „sucho".

Zapowiedź owych „suchych wyborów" trwogą przejmuje niektórych z kandydatów, którzy całą swą nadzieję pokładają w kiełbasie wyborczej, ta zaś, jak stwierdzają powagi naukowe krajowe i zagraniczne, bez wódeczki obejść się nie może. Gotów zatem odpaść jeden z najważniejszych argumentów, przekonywania wyborców, co może pociągnąć za sobą wprost nieobliczalne następstwa, wiadomo bowiem, że na kiełbasę wyborczą są bardzo czuli wszyscy, mający prawo głosowania, nie wyłączając nawet ś. p. nieboszczyków, którzy, jako sami do urny stawić się nie mogący votu swe oddają przez żyjących zastępców.

Nie jest jednak tak źle z owym pięciotygodniowym zakazem sprzedaży alkoholu w okresie przedwyborczym, jak myślałby kto może, gdyż każdy medal ma dwie strony, jedną smutną, drugą wesołą. Jeźli w samej rzeczy zakaz ów zostanie wydany, nie wyklucza to przecież, że wódeczką będzie można gasić pragnienie, wdrawdzie nie jawnie, lecz pokątnie, co jednak pociągnie za sobą znaczne zwiększenie kosztów agitacyjnych, każdy bowiem ze sprzedających napoje wyskokowe każe sobie dopłacać odpowiednią nadwyżkę „za strach i na pokrycie ewentualnie mogącej być na niego nałożonej kary". Smucą się zatem kandydaci na posłów, a zacierają z radości ręce szynkarze, mający jakąkolwiek styczność ze sprzedażą spirytusu.

Okręg 41. wyborczy, t. j. miasto Kraków, ma wybrać czterech posłów, a jak słychać, dotąd mamy już jedenaście list wyborczych rozmaitych stronnictw i bloków, twierdzących, że mają jeden mandat stanowczo zapewniony, drugi zaś prawie pewny. Ponieważ nie ulega kwestyi, że tych list pojawi się jeszcze kilka z nazwiskami mniej lub więcej operetkowych kandydatów, walka wyborcza w mieście zapowiada się poważnie, a zapotrzebowanie kiełbasy wyborczej gwałtownie wzrośnie. Bardzo pompatyczną odezwę do kandydatów na posłów ogłosiło krakowskie Stowarzyszenie stróżów katolickich, wzywając ich, aby w biurze Stowarzyszenia zgłaszali swe kandydatury, a jak nas informują, prezes udziela zgłaszającym się audyencyi, na których przyjmuje ich wyznanie polityczne, celem rozpatrzenia go, a następnie poddania pod głosowanie wydziału. W razie przyjęcia do wiadomości zatwierdzającej, rozpoczną stróże agitacyę na rzecz odnośnego kandydata, co im przyjdzie tem łatwiej, że mogą wpływać na wyborców przy otwieraniu im bramy nocną porą. Lokator nie zostanie wpuszczony do s eni, do póki nie zobowiąże się uroczyście, że odda głos kandydatowi protegowanemu przez pana do zorce. Swojej listy, jak słychać, stróże na razie nie stawiają, choć byłoby bardzo pożądanem, aby tak w Sejmie, jak i w Senacie znaleźli się ich przedstawiciele, gdzie mogliby się stać bardzo pożądanym czynnikiem utrzymania porządku wewnętrznego.

Nasz wyborczy sprawozdawca donosi nam, że przed kilku dniami odbył dr. Thon zgromadzenie przedwyborcze na podwórzu jednej z kamienic na Kazimierzu przy bardzo licznym udziale wyborców i nie wyborców obojga płci. Mowca potrafił tak przekonywająco przemówić do zebranych, że po ukończeniu wiecu wyprzęgli szkapę dorożkarską i własnemi rękami wśród wiwatów zaciągnęli go przed dom, gdzie zamieszkuje. Powtórzyło się zatem to samo co miało miejsce w r. 1919, nie wiemy tylko czy dr. Thon i tym razem podziękował także z balkonu swego mieszkania w żargonie, który chyba nie może być uznawany za język narodowy żydów.

Ruch przedwyborczy pozwolił nam zapomnieć o setnej rocznicy ogłoszenia niepodległości Brazylii, którą Warszawa obchodziła bardzo uroczyście, prawdopodobnie z tego powodu, iż brazylijscy plantatorowie gnębili zawsze polskiego robotnika, a setki tysięcy ich straciło tam życie dzięki zabójczemu klimatowi i nieznośnym warunkom pracy.

gdy nastały spokojniejsze czasy, nie zapomniało o tych, którzy życiem swem stwierdzili, że są Polakami. Ich grobowce, to kopce graniczne, strzegące naszych wschodnich kresów.

W Kołomyi zawiązał się Komitet, który zajął się budową pomnika, poświęconego pamięci ofiar ukraińskich gwałtów. W dniu 10. września b. r. odbyło się jego uroczyste poświęcenie przy udziale wielotysięcznych tłumów.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św polową na boisku „Sokoła"; następnie ruszył pochód przy udziale gniazd Sokolich X. Okręgu, wojska, towarzystw i szkół miejscowych na Cmentarz Wojskowy, gdzie po dokonanem poświęceniu Krzyża przez ks. kanonika Wójcika złożono wieńce u stóp Krzyża. Mowy wygłoszone ku czci zmarłych męczenników, zakończyły uroczystość poświęcenia.

Popołudniu odbyły się ćwiczenia gimnastyczne Sokołów miejscowych oraz gości X. Okręgu. Pomimo, iż dzień był słotny i dżdżysty, licznie zebrana publiczność dała wyraz swej czci i pamięci dla zmarłych bohaterów i obrońców wschodnich kresów Polski.

W uroczystości kołomyjskiej wzięła także udział delegacya „Obrońców Lwowa" pod przewodnictwem p. Wallnera.

Początek końca.

Grecka awantura w Małej Azyi zaczyna dobiegać ku końcowi, choć bowiem armia króla Konstantyna, operująca na terenie anatolijskim faktycznie nie istnieje, nie jest jednak wykluczonem, że właśnie taki obrót sprawy wywołać może jeszcze groźniejsze niż dotyczczasowe zamięszanie na Bliskim Wschodzie.

Marzenia wielkogreckie króla Konstantyna poszły w niwecz, nadzieja, że stolicę swą przeniesie z Aten do Bizancyum, należą dziś do przeszłości, nie rokując najmniejszych szans urzeczywistnienia. W Grecyi skutkiem tego konsternacya ogólna, ale nie mniejsza także i u tych mocarstw europejskich, które Grecyę popychały do czynu, nie spodziewając się takiego zakończenia. Bo nie ulega kwestyi, że Grecya sama, nie czując za sobą obcego, potężnego poparcia, nie byłaby się zdecydowała na krok tak ryzykowny. Dano posłuch podszeptom, idącym z Londynu, zawiedziono się jednak, poparcie bowiem było tylko słowne, a nie czynne. Grecya, nie zdając sobie widocznie z tego sprawy, miała być atutem, jakiego wielki szuler polityczny, Lloyd George, chciał użyć przeciwko Turcyi. Zeszłoroczne powodzenie Greków w wojnie z Kemalem baszą zaślepiły Greków do tego stopnia, że lekceważyli sobie tureckie siły i turecki fanatyzm narodowy, zdolny w krytycznej chwili do najdalej idących poświęceń. Nie pomogły ostrzegawcze głosy, aby Grecy nie posuwali się zadaleko, gdyż łatwo może im grozić katastrofa, dziś okazuje się, że ostrzeżenia te miały zupełną racyę. Co jednak ważniejsze, Grecy, jak się dziś okazuje nie mieli najmniejszego pojęcia o stanie armii tureckiej, gdy natomiast Turcy poinformowani byli aż zanadto dobrze o rozprzężeniu panującem w greckich szeregach. To też początek ostatniej ofenzywy tureckiej przedstawiono w prasie europejskiej na podstawie źródeł greckich, jako krok, mający na celu jedynie zyskanie dla siebie pomyślniejszych warunków na zwołanej do Wenecyi konferencyi, gdy tymczasem był to krok rozpaczy, stawiającej wszystko na ostatnią kartę. Na dwa dni przed ostateczną klęską Greków w Małej Azyi dowiedzieliśmy się, że armia Mustafa Kemala baszy nie liczy więcej, jak trzydzieści do czterdziestu tysięcy ludzi, że wystąpienie jej jest zatem tylko pewnego rodzaju militarną demonstracyą dla politycznych celów, niebawem, po rozgromieniu Greków, pokazało się, że Turcy rozporządzali trzystu tysiącami żołnierzy, z których dwieście tysięcy ruszyło do ataku na przeszło czterdziestokilometrowym froncie, sto tysięcy zaś stanowiło rezerwę.

Klęska Greków była przedewszystkiem przykrą niespodzianką dla Anglii, która wierna swej polityce cieśnin, rozsiadła się już wygodnie nad Bosforem. Zaledwie pozbyto się jednego kandydata na Konstantynopol w osobie króla greckiego Konstantyna, któremu wyperswadowano, aby wybił sobie z głowy ten plan niedorzeczny, staje drugi, tym razem groźniejszy, w osobie Mustafy Kemala baszy, jako przedstawiciela rządu angorskiego. W warunkach, jakie obecnie Turcy stawiają, znajduje się między innymi żądanie zwrotu Konstantynopola, który musi pozostać siedzibą kalifatu, Tracyi i Adryanopola. Te warunki mogą się stać łatwo przyczyną nowych zamieszek na Blizkim Wschodzie, zwłaszcza, że i państwa Małej Ententy zabierają także głos w tej sprawie i występują z protestem. Konferencya najbardziej interesowanych t. j. Anglii, Francyi i Włoch, dotąd odkładana, musi być jak najrychlej zwołaną, aby przeszkodzić wybuchowi nowej pożogi na Bałkanie.

Jak dziś rzeczy stoją, armia grecka, operująca w Małej Azyi, zupełnie już nie istnieje, większa jej część dostała się do niewoli, w ręce Turków wpadły ogromne zapasy materyału wojennego. Ostatnie telegramy doniosły, że resztki armii greckiej, w sile siedmiu tysięcy ludzi, opierająca się jeszcze przewadze tureckiej, musiała się poddać. Smyrna stoi w płomieniach, tak w Małej Azyi jak i w Tracyi grozi ludności chrześcijańskiej ogromne niebezpieczeństwo, dochodzą już słuchy o rzeziach.

Oto skutki i następstwa dwulicowej polityki Lloyd'a George'a. Powodzenie Kemala baszy bardzo łatwo może pociągnąć za sobą wystąpienie całego Islamu przeciw rasie białej, w szczególności zaś przeciw Anglii, która ani przypuszczała, że, igrając z ogniem może się sama najdotkliwiej poparzyć. Jeśli angielska nieustępliwość trwać będzie dalej nie jest wykluczonem, że Anglia może się łatwo pożegnać ze swymi wpływami w Azyi i Afryce.



Początek końca: Katastrofa greckiego samochodu wojskowego podczas odwrotu nad brzegiem rzeki Sakaria.



Królestwo jugosłowiańscy w Maryenbadzie: Król Aleksander i królowa Marya podczas przechadzki.



Zgon wynalazcy telefonu: Aleksander Graham Bell, zmarły w Baddeck (Stany Zjednoczone Am. Półn.).

Szczegóły rozstrzygającej bitwy w Anatolli przedstawiają się według doniesień francuskich korespondentów w sposób następujący:

Ofenzywa nacyonalistów tureckich, podjęta z Afiou-Kara-Hissar, stanowiła kompletną niespodziankę. Jenerał grecki Hadjianesti znajdował się już na pokładzie parowca, odchodzącego ze Smyrny do Aten, gdy nadeszła depesza, informująca go o zaszłem wydarzeniu.

Główną przyczyną porażki Greków była tym razem, podobnie jak i w roku zeszłym, nieznajomość sił przeciwnika.



Miliardowy zapis dla Polskiej Akademii Umiejętności: śp. Władysław Józef Fedorowicz, herbu Oginiec.

Zdaniem wszystkich oficerów armii sprzymierzonych, znajdujących się w Konstantynopolu, a będących „au courant" tego, co dzieje się na płaszczyznach anatolijskich, komenda turecka postąpiła według wszystkich reguł sztuki Napoleońskiej. A więc nastąpiła koncentracya potężnej artyleryi w punkcie oznaczonym, miażdżący ogień, atak piechoty, wyzyskanie sukcesów przez kawaleryę. W ten sposób w ciągu dwóch dni zostały zdobyte przed Afiou-Kara-Hissar pozycye, które były fortyfikowane od roku.

Pozycye te były wgłębione na froncie 40 kilometrów. To też góry Soussiez na południe od Afiou zostały okrążone przez trzy dywizye tureckie, które rzuciły na odkrytą flankę grecką dwie brygady kawaleryi.

W Afiou-Kara-Hissar, a przedewszystkiem na froncie południowym, Grecy nie spodziewali się zupełnie tak gwałtownej operacyi ze strony kemalistów. Komenda grecka wiedziała, że znaczne siły koncentrowały się ustawicznie to tu, to ówdzie, ale sądziła, że są to tylko środki ostrożności. W dniu rozpoczęcia bitwy pozycye greckie zostały zalane potopem ognia i żelaza. Wkrótce po tem straszliwem przygotowaniu artyleryjskiem, które zmiotło zupełnie rowy i zasieki, piechota kemalistów wyszła ze swoich pozycyi w zwartej masie. Atak ten został poprowadzony na 40-kilometrowym froncie, pomiędzy biegiem rzeki Akar-Scu i farmą Hassana-beja. W ataku tym wzięło udział przeszło dziesięć dywizyi.

Bez dania strzału Turcy posuwali się naprzód. Ogień artyleryi greckiej czynił spustoszenia w ich szeregach, ale ich bynajmniej nie zatrzymywał. Poszły w ruch mitraliezy, potem ogień karabinowy, ale fale atakujących posuwały się wciąż naprzód. Gdy fala atakujących Turków znalazła się przed zasiekami drucianemi, rozszedł się o wschodzie słońca jakiś błysk na całej linii tureckiej. To Turcy osadzali na karabinach bagnety. Następnie wszyscy wydali straszny okrzyk: „Allah, Allah, Allah!" i rzucili się szturmem na pozycye greckie. Wojska greckie zaczęły się uginać, a pierś ścierała się z piersią. Kilka młodych oddziałów wszczęło panikę w szeregach greckich. Już pierwszego dnia bitwy około południa front grecki był zachwiany i nacyonaliści tureccy byli panami pierwszych linii.

Zaznaczyć należy, że podczas gdy Turcy walczyli metodą francuską, Grecy przeciwstawiali im metodę — niemiecką... Odniosła tu więc zwycięstwo szkoła francuska.

Zapisał on w pow. przeworskim dobra ziemskie Krzeczowice, Bóbrka, Krawica i Cestynia, papiery i przedmioty wartościowe Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, z tem zastrzeżeniem, że cały ten majątek po wieczne czasy stanowić będzie oddzielnie administrowaną całość jako fundusz im. Władysława Józefa Fedorowicza herbu Oginiec. Czysty dochód z funduszu ma być użyty na stypendya dla młodych ludzi, poświęcających się nauce rolnictwa i studyom leśnictwa, częścią na wydawnictwa z zakresu agronomii i leśnictwa i na nagrody dla specyalnie zasłużonych czy to autorów, czy studentów z tego zakresu.

Cześć zacnemu człowiekowi i ofiarnemu obywatelowi, który innym wskazał drogę w jaki sposób pożyteczny a wzniosły utrwala się swoje nazwisko na zawsze!

Królestwo jugosłowiańscy w Maryenbadzie

Zdrojowisko czeskie, Maryenbad, należało przed wojną do najsławniejszych w świecie, obok bowiem tłuściochów z obydwu półkuli zjeżdżały się tutaj corocznie bardzo licznie koronowane głowy, amerykańscy miliarderzy i wszelkiego rodzaju dyplomaci. Głównego blasku dodawał zmarły król angielski Edward VII., który w ostatniej epoce swego życia bawił tutaj prawie corocznie.



Na odbudowę zniszczonej kopuły kościoła św. Piotra w Krakowie: Członkowie Komitetu festivalu, urządzonego na dziedzińcu Zamku wawelskiego.

Miliardowy zapis dla Polskiej Akademii Umiejętności.

Że ofiarnych obywateli, którzy nawet po swej śmierci pragną z wydatną pomocą śpieszyć Ojczyźnie i społeczeństwu nie brak u nas, — mamy świeży dowód na wspaniałym zapisie ś. p. Władysława Józefa Fedorowicza.

W wojennych czasach frekwencya kuracyuszów w Maryenbadzie spadła z natury rzeczy prawie do zera, obecnie poprawia się nieco, ale bardzo powoli, gdyż dawnych tutejszych gości odstrasza wysoki kurs korony czeskiej, a nie trzeba zapominać, że główny ich kontyngent rekrutował się z pomiędzy mieszkańców byłych krajów austryackich i Rosyi.

W kończącym się obecnie sezonie kąpielowym przypomniał się Maryenbad kilkakrotnie opinii publicznej nie tyle jako zdrojowisko i uzdrowisko, ile jako miejsce spotkania się dyplomatów państw Małej Ententy i jej najbliższych. Bawi tu także młody król Jugosławii, Aleksander, wraz z niedawno poślubioną małżonką, królową Maryą, z domu księżniczką rumuńską. Spędzają oni w Maryenbadzie jeden z swych miodowych miesięcy, a pobyt ich tutaj nie jest bez pewnego politycznego znaczenia, mając świadczyć o serdecznych stosunkach, panujących między Jugosławią a Czechosłowacyą, dążącą do zajęcia dominującego stanowiska tak w Małej Entencie, jak i w środkowej i wschodniej Europie. Królestwo Aleksandrowie polityką się tutaj nie bawią, spędzając czas na wycieczkach pieszych i samochodowych, prowadzi ją natomiast bawiący tutaj na kuracyi premier jugosłowiański, Pasicz. W dniu 31. sierpnia odbyła się między nim a d-rem Beneszem konferencya, na której przedłużono traktat zaczepno-odporny, zawarty w r. 1920 między Czechami a Jugosławią.

Równocześnie obradowali w Pradze przedstawiciele Małej Ententy z udziałem Polski nad zajęciem wspólnego frontu podczas sesyi Ligi Narodów, przedewszystkiem o ile to dotyczyło spraw mniejszości narodowych, przyjęcia Węgier w skład



Popisy hippiczne w Bydgoszczy: Publiczność śledząca przebieg konkursu i wyścigów. Fot. W. Wojucki, Bydgoszcz.

Ligi i ustalenia granic między niemi a Austryą i Jugosławią.

Na odbudowę zniszczonej kopuły kościoła św. Piotra w Krakowie.

Jak wiadomo, jeden z tegorocznych wiosennych huraganów uszkodził bardzo poważnie piękną kopułę na kościele św. Piotra w Krakowie, należącą do najcenniejszych ozdób naszego miasta. Uszkodzenie było tak silne, że zagrażało jej runięciem, narażało także wnętrze kościoła na szkodliwe wpływy atmosferyczne. Trzeba było zatem pomyśleć o ratunku i to jak najszybszym, a, jak się przy bliższem badaniu okazało, także i gruntownym, ząb czasu dał się już bowiem tej monumentalnej budowli poważnie we znaki. Wymagało to bardzo znacznych wydatków, idących w miliony, ponieważ zaś nie można było liczyć na subwencyę z funduszów publicznych, musiano się uciec do ofiarności ogółu, który też pospieszył chętnie z pomocą. Kierownictwo odbudowy objął prof. Szyszko-Bohusz, przysporzeniem funduszów zajął się Komitet, w którym niestrudzoną działalność rozwinęli przedewszystkiem administrator parafii Wszystkich Świętych ks. Buda i pierwsza, gdy rozchodzi się o cele humanitarne i dobroczynne, prof. Ludwika Grodzicka, znana i ceniona u nas pianistka.

Ponieważ dobroczynności publicznej trzeba się u nas, nawet, gdy rozchodzi się o najszlachetniejsze cele, przypominać się często i w sposób możliwie najwymowniejszy, Komitet odbudowy kopuły obrał też tę samą metodę, a drogą, wiodącą go do celu, był cały szereg koncertów, przeważnie z zakresu muzyki kościelnej i festival, urządzony na dziedzińcu wawelskiego Zamku. Inicyatorką i kierowniczką artystyczną tych popisów muzykalno-wokalnych była prof. Ludwika Grodzicka. Jej staraniem urządzono dotąd pięćdziesiąt pięć koncertów, dalsze mają dokonać zbożnego dzieła, na razie bowiem zastąpiono dopiero stare i zbutwiałe wiązania belkowe nowemi i pokryto zaledwie niewielką część kopuły blachą miedzianą, co pociągnie za sobą kilkomilionowy wydatek, na który muszą się złożyć datki ofiarnych serc.

Wspominaliśmy już w swoim czasie w naszem piśmie, jak chętnie i ofiarnie pospieszyli najwybitniejsi przedstawiciele naszego świata muzyczno-śpiewackiego na wezwanie prof. Grodzickiej, jak ogólnem uznaniem cieszyły się te religijne koncerty, gromadzące co niedziela i święto w kościele św. Piotra tłumy publiczności, dziś podajemy skład Komitetu, który urządził festival na dziedzińcu Zamkowym. O jego udaniu się wiedzą Czytelnicy z pism codziennych, tutaj możemy tylko tyle nadmienić, że powodzenie zawdzięczyć należy niestrudzonej inicyatorce i jej współpracownikom, przedewszystkiem pułkownikowi Schlöglowi, por. Zwierzynie z pułku kolejowego, który objął część techniczną (wspaniałe oświetlenie dziedzińca), artystom śpiewakom Mściwojewskiej i Sobańskiemu, kapelmistrzom Zamorskiemu (20 p. p.), Maleczkowi (5 p. a. c.) i Gołowkowowi (6 p. a. p.), Kalinowej, Piwarskiej, Bladowskiej, Mrozickiej, Potockim, itd.

Zgon wynalazcy telefonu.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zmarł przed niedawnym czasem w Baddeck sławny niegdyś w całym świecie, dziś nieco już zapomniany wynalazca telefonu Aleksander Graham Bell. Doczekał sędziwej starości i mógł patrzeć poza siebie z dumą, iż jego wynalazek tak niespożyte oddał ludzkości przysługi i takich doczekał się ulepszeń. W rzędzie wynalazków, które cywilizacyę i kulturę ludzkości podniosły bardzo wysoko, należy bezsprzecznie także i telefon, który zrealizował dawne fantastyczne widzenia naszych dziadów i pradziadów o bezpośredniej rozmowie ze sobą ludzi, oddalonych o całe setki mil. Cudu tego dokonała elektryczność, przenosząc po drucie fale głosu, które wywołują drgania odpowiednie w aparacie na stacyi odbiorczej, wywołują złudzenie, jak gdyby osobę z którą się rozmawia, miało się obok siebie. Z czasem telefon Grahama Bella ulepszano coraz bardziej, dziś zaczyna go wypierać telefon bez drutu. Będzie to aparat porozumiewawczy przyszłości, obecnie bowiem próby są dopiero w toku i trzeba czekać, aż znajdzie on należyte rozpowszechnienie.

Jak amerykańskie pisma doniosły kazał się wynalazca telefonu pochować na szczycie jednej z wysokich bardzo niedostępnych gór, aby jak twierdzą złośliwi, snu wiecznego nie mącił mu odgłos dzwonków, wzywających do rozmowy telefonicznej po to tylko, aby się przekonać, iż aparat panienka z centrali nastawiła fałszywie, w danym wypadku rozchodzi się bowiem o zupełnie innego abonenta.

W każdym razie w dziejach kultury nazwisko Grahama Bella zajmie jedno z najpoczestniejszych miejsc obok nazwisk najsławniejszych wynalazców.



Popisy hippiczne w Bydgoszczy: Komitet sędziów z jen. Jungiem na czele. Fot. W. Wojucki, Bydgoszcz.

Popisy hippiczne w Bydgoszczy.

Myli się każdy, kto sądzi, że tak zwane wyścigi konne, konkursy hippiczne i tym podobne rozrywki sportowe, gdzie w grę wchodzi koń, są tylko wymysłem ludzi bogatych, nie wiedzących, jaki zrobić użytek z wolnego czasu i pieniędzy. Tak nie jest. Ten dział sportu stoi w ścisłym związku z życiem ekonomicznem każdego kraju, wpływając na racyonalną hodowlę koni, które, przynajmniej na razie, dopóki ich zupełnie nie wyruguje elektryczność i para, służą człowiekowi w rozmaitych dziedzinach jego życia, przedewszystkiem zaś w gospodarstwie, którego popędu w naszych warunkach bez konia poprostu wyobrazić sobie nie można.

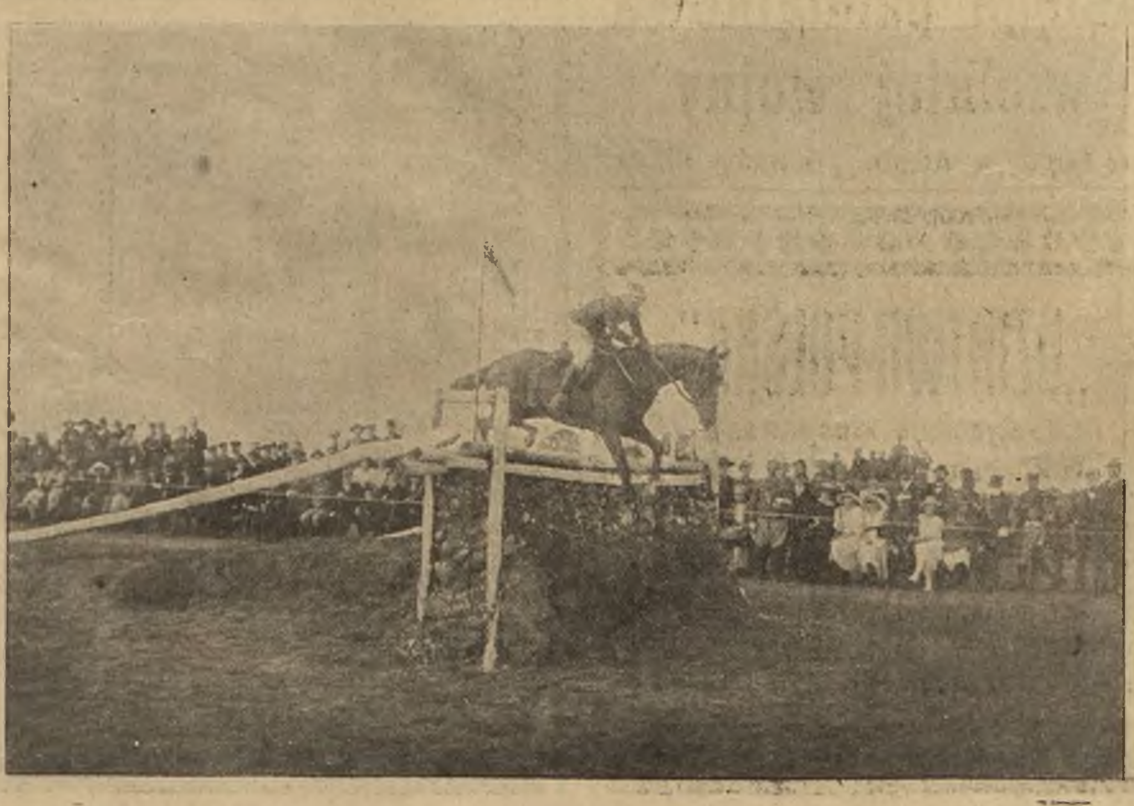
Wyścigi, konkursy hippiczne, wystawy koni, to zatem nie czcze zabawki, lecz ważny czynnik w życiu ekonomicznem, przyczyniają się bowiem do dołożenia starań ze strony hodowców, aby konia, tego prawdziwego przyjaciela człowieka w pokoju i wojnie, pielęgnować tak, jak tego natura jego wymaga.

W naszym narodzie otaczany był zawsze koń staraniami, jakich nie doznawały żadne inne zwierzęta domowe, czemu dziwić się nie można, jeżeli się zważy, że Polak większą część swojego życia spędzał na koniu i traktował go tak, jak Arab swego wierzchowca, który jest mu najdroższym przyjacielem.

Służy koń człowiekowi w pokoju, niemniej ważne usługi oddaje mu i w czasie wojny, to też i wojskowość baczną zwraca uwagę na to, aby hodowla koni rozwijała się należycie, tak ilościowo, jak i jakościowo, im koń bowiem szlachetniejszej rasy, tem zdatniejszy jest do pełnienia swych zadań. Wyścigi i wszelkiego rodzaju popisy stają się bodźcem dla hodowców, aby koniowi poświęcić jak najwięcej starań, a są one dla nich pewnego rodzaju egzaminem, jak się wywiązać ze swego zadania.

Najdrobniejszy poryw w tym kierunku u nas jest godny zanotowania, przekonujemy się o tem z pierwszego lepszego konkursu hippicznego lub wyścigów, urządzanych przez naszą wojskowość. Dla własnego zadowolenia, nie dla rozgłosu, staje się na arenie lub u mety, wyniki zwykle są takie, iż mogłyby walczyć o pierwszeństwo z zagranicznymi.

Do rzędu najzupełniej udałych pod każdym względem zaliczyć należy urządzony przed niedawnym czasem w Bydgoszczy konkurs hippiczny i wyścigi tamtejszej załogi, które wykazały takie wyszkolenie jeźdźców i troskliwość o stan konia, iż można je postawić jako wzór, godny naśladowania.



Popisy hippiczne w Bydgoszczy: P. Zahorski podczas brania przeszkody. Fot. W. Wojucki, Bydgoszcz.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. Rojek, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół, utworzy temat, poruszany obecnie bardzo żywo przez wszystkich.

```
    ■
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
  – ■ –
    ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Członek najbliższej rodziny, 3. Osoba duchowna, 4. Miasto we Wschodniej Małopolsce, 5. Okres czasu, 6. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Astronom z Wieliczki.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwę jednej z planet.

```
■ – – –
– ■ – –
– – ■ –
– – – ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Miara odległości, 2. Dopływ Wołgi, 3. Część składowa drzewa, 4. Pasmo gór w Europie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Venizelos z Krakowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jednego z europejskich półwyspów.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Starorzymski kapłan, 3 Sprzęt domowy, 4. Ptak śpiewający, 5. Miara powierzchni, 6. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. B., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwę instytucyi, przejmującej grozą i obrzydzeniem każdego uczciwego człowieka.

— ela
— ola
— mir
— opa
— zaw
— eta
— oda
— ork
— yna
— ero
— dam
— ota
— ama
— zot

Zgłoskówka.

Ułożyła M. B., Skawina.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwę ksiąg Starego Zakonu:

Zakopane, Radom, koalicya, Zaporoże, komedya, kanon.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego: „Pod Czerwonym Wirchem" (powieść); 2) Kalendarz kieszonkowy z notatnikiem na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30

Grzebieniówka: Busk, e, Nero, e, doba, y, koza, t opal, w, imam, c, Zola.

Kwadrat magiczny. Haga, azot, Gota, atak.

Zgłoskówka: Onufry Zagłoba.

Logogryf: K, Don, Borys, kufer, brama. Wanda, Ito, y.

Trójkąt magiczny: **Ratenau** Antoni, tango, Ezaw, noc, ar, n.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Zawadzki Kalwarya. H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, M. Stachowicz Kraków, P. Lachmanówna Lwów, W. Krzemień Wilno, S. Dąbrowski Grudziądz, J. Cholewiński Tarnopol Z. Koniecpolski Łódź, L. Winter Kraków, K. Wąs Lublin, **L. Policzyński Rembertów,** J. Piotrowski Lwów, A. Rusinko Stanisławów, M. Motylewski Kutno. C. Kozłowski Warszawa, M. Kubicówna Kraków, B. Kalinowski Kutno, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Zakopane, J Morusowa, Jasło, D. Lipeż Piątkowa, J. Skowroński Tłumacz, W. Dudek Bydgoszcz, W. Smiszkiewicz Milówka, B, Ertel Rzeszów, J. Cercha Miechów, B. Szypulska Wieliczka. St. Müller Warszawa, **Stan. Nowaczyński Łódź.**

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) **L. Policzyński** (powieść); 2) **Stan. Nowaczyński** (kalendarz). -- Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 70 mk

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego